





## ISKRA. WPROWADZENIE.

Jeśli sztuka w jakiejś formie stanowi ucieczkę, tak i ucieczka niech stanie się formą sztuki. Gdziekolwiek więc zmierzasz, już tam przybyłxś. Czymkolwiek stajesz się po drodze, tym już jesteś w momencie, w którym zdałxś sobie sprawę, że o tym rozmyślasz. Wędrowni, zarówno jak i sztuka nie powinna wieść do konkretnego celu a tym celem być samym w sobie.

Tak więc wędrowni jest pierwszym elementem stanowiącym bazę pod oddane do waszych rąk opowiadania. Element prozaiczny. Element życia, nieodłączny i stały. Zmienna bywa jedynie jego forma. Postanowim odnieść się do tego motywu, właśnie przez wzgląd na jego prozaiczność. Na jego surowość ale i ukryte w nim symboliczne podwaliny.

Wędrowni z kolei przerodzić się może w ucieczkę. I nie mam tu na myśli stałego biegu donikąd. Ucieczka może być zarówno fizyczna jak i psychiczna. Ucieczka od opresyjnych instytucji, form życia, ról, klas, ras, płci. Być może końcowo całkowita ucieczka od figury wykreowanej na potrzeby antropocentrycznego mitu, traktującego o niemal boskiej wyższości człowieka nad innymi żywymi istotami. Stawanie się i bycie. Wyjście poza fizyczne ciało. Tu i teraz. Każdy krok to wyjście i wejście zarazem. Przekraczanie granic. Zarówno tych materialnych jak i wyobrażonych. To także jak najbardziej prozaiczne zejście z asfaltowej drogi czy brukowanego chodnika na ścieżki wydeptane przez leśnych mieszkańców. Które z kolei najczęściej przecinają ludzkie drogi ukazując w ironiczny sposób ich maluczkost i kruchość.

Wędrowni niech będzie z kolei magią. Wtłoczoną w tkankę społeczną, w pewien sposób budującą na nowo koloryt życia w dobie poszukiwania nowych form „bycia” w świecie. Te formy z kolei niech rozciągają się od indywidualnego „wychodzenia” czy też „wyrzucania się” ze społeczeństwa, czy też dalej – cywilizacji<sup>1</sup>, przez budowanie chwilowych wspólnot, po zakorzenianie się w konkretnych miejscach. Niech będzie nośnikiem ognia, rozświetlającym mrok i mrokiem jednocześnie. Dlatego też, że każdy skrawek tejże pielgrzymki, każde miejsce naznaczone wędrowni nosi ślady świętości i demoniczności. Buduje i niszczy. Wędrowni tak jak i każdy praktycznie aspekt stanowienia/kreowania osadzony w mitach kosmogonicznych zawiera pewną nierozzerwalną dwoistość. Jest tym samym zawieszona gdzieś pomiędzy – tym a tamtym, przeszłością a przy-

<sup>1</sup> Cywilizacja przybiera tu natomiast formę opresyjnej figury, hegemonu i dyktatora. Jest pokłosiem setek lat imperialnych ambicji, kolonialnych podbojów, oświeceniowych myśli europejskiej arystokracji. Jest tym samym co buduje do tej pory obraz „zachodniego świata” czy też „globalnej północy”. Dzieli świat na inne światy, samemu stawiając się zawsze albo na górze albo w środku. Ten symboliczny zabieg ma być bezpośrednim zaklinalniem rzeczywistości. Odbieranie mocy sprawczej, upokorzenie, symboliczne splunięcie w kierunku wszystkich tych społeczności oraz osób, które nie mieszczą się w jego ramach (ze względu na miejsce urodzenia, status społeczny, kolor skóry czy orientację seksualną oraz płciową).

szością, czasem a jego brakiem, wyjściem a wejściem. Bezpośrednio więc można nazwać ją stanem liminalnym. Limen (łac. *próg*) w naukach społecznych (np. antropologia, religioznawstwo czy też socjologia) stanowi filar opisu rytuałów. Te z kolei składają się z trzech etapów: fazy *preliminalnej/separacji* (odebranie statusu konkretnej jednostki, wyłączenie jej z grupy bazowej; stygmatyzowana lub oznaczana na wiele sposobów, poprzez nagość lub rytualny ubiór, izolację oraz malowanie lub okaleczanie skóry), fazy *liminalnej/marginalnej* (jednostka jest całkowicie wyłączona z grupy lub społeczności; w akcie symbolicznej śmierci podczas fazy preliminalnej, straciła dotychczasową tożsamość czy też status ale nie zdążyła nabyć nowej- tym samym jest zawieszona pomiędzy) oraz fazy *postliminalnej/włączenia* (jednostka zyskuje nowy status).

Opowiadania zawierają się w pewnym cyklu. Cykl ten z kolei ma być odniesieniem do cyklu rocznego/agrarnego, stanowiącego mitologiczne i kosmogoniczne rudymenty. W tym również mitologii, którą określić możemy słowiańską<sup>2</sup>.

Pierwsze z opowiadań jest wkroczeniem do świata lasowiackich bajań. Sami zaś lasowicy stanowią odrębną grupę etnograficzną, zamieszkującą tereny Puszczy Sandomierskiej. Grupa stanowiąca olbrzymi kulturowy tygiel (wczesne migracje wołoskie, żydowskie społeczności, tatarscy uciekinierzy i jeńcy a także Litwini, Niemcy, Mazury, Małopole, Rusini, Szwedzi), przez wzgląd na warunki przyrodnicze jest dla mnie zarówno czymś bliskim sercu jak i odległym oraz nieopisanym. Być może nawet czymś, co nie jest całkowicie możliwe do opisanie. Wywodzi się natomiast i powstała dzięki ucieczce. Pisali o tym najwcześniejsi domorośli etnografowie jak i antropolodzy, którzy temat teje grupy wnieśli na akademickie sale.

Puszcza Sandomierska, niegdyś miejsce bagienne, nieurodzajne, zalesione, było czymś w rodzaju ostoi wszelkich uciekinierów z północy czy zachodu, opryszków, bandytów, artystów, dziadów wędrownych czy zwykłych włóczęgów. Miejsce wyjęte spod bezpośrednich rządów królewskich czy książęcych. Oczywiście – część z ziem zagarnięta przez kolejnych panów, z biegiem czasu stawała się prywatnym podwórkiem arystokracji i szlachty. Przez wzgląd na niedostępność tych terenów, praktycznie do końca lat 20-tych XX wieku w pewien sposób odseparowana od reszty świata. Nieprzejezdne drogi, błoto, zarośla. Ponoć nawet Oskar Kolberg obrał inną drogę, gdy dotarł za widła Wisły i Sanu. Konstruowana i rekonstruowana na potrzeby wielu amatorów – badaczy oraz akademickich głów a dalej – polityków. Jej granice próbowano zakreślić na mapach, rysowano więc linie, przecięcia, rzeki, strumienie, wzgórza. Jak ich zatem nazwać? Gdzie ich wcisnąć na mapę, by zamknięci zostali w ramach instytucjonalnych? Próby, ciągle próby. Trwające latami.

<sup>2</sup> Oficjalnie nie istnieje jedna, konkretna mitologia słowiańska, stąd też świadomie odnoszę się do tego, że możemy jedynie podjąć próby jej rekonstrukcji przy pomocy źródeł zastanych oraz współczesnych badań etnograficznych. Do tej pory zostało podjętych kilka prób zbudowania teje.



Z racji, że i moje korzenie tu w ziemię wrosły, na cel wziąłem „bycie” w tym miejscu. Nie próbuję jednak posługiwać się tu zastygłą figurą grupy etnograficznej, zamkniętej w bielonych ścianach skansenu, gdyż jest ona wtedy jedynie martwym eksponatem. Niosąc w każdym z opowiadań kolejne historie, próbuję nadać życiodajną iskrę ciągłym i nieustającym zmianom. Jestem więc tym wszystkim co tu się znajduje, symbolicznie obierając różne formy. Wiele mam więc nazw czy kształtów. Przekraczając granice (zarówno te fizycznie jak i i symboliczne) kształtuję własną podróż – według własnych doświadczeń oraz zasad. Ta wędrówka jest jedną z wielu wędrówek. Moje drogi będą przez zarośnięte ścieżki sarnie, śladami wilczych kłów oraz zgodnie z mijającymi porami roku. W każdym z kolejnych opowiadań staram się dokopywać do tabu, przełamać istniejące stereotypy oraz co większe narracje, będące paliwem dla stanowienia nowożytnych mitów (narodowych itp.).

Nie bez przyczyny odnoszę się również do demonologii oraz świętości. Obecne elementy szamanizmu czy sakralności jako takiej mają być bezpośrednim odniesieniem do dwoistości, o której wspomniałem wcześniej. Praktycznie każda postać zawarta w kolejnych częściach nosi w sobie bagaż znaczeniowy. Będące zarówno postaciami pierwszoplanowymi jak i drugo czy trzecioplanowymi naruszają hierarchie<sup>3</sup>, wprowadzając element chaosu i ciągłych zmian. Burzenia i budowania. Właśnie tej „innej” formy bycia. Są zakłute w odwiecznym kole, w fazie marginalnej.

Rzeczą kolejną jest język, którym posługuje się przy budowie narracji. Jest on zaczerpnięty ze źródeł zastanych (lektur, utworów muzycznych itd.) a także ze źródeł własnych (w tym wywiadów). Eksperymentalna forma opowiadań wynika także w dużej mierze z inspiracji dziełami sytuacjonistów, osób artystycznych z ery *beatu*<sup>4</sup> czy tekstów folklorystycznych. Nie mogę również nie wspomnieć o ogromnej inspiracji, jaką jest dla mnie do tej pory sytuacja rebelii zapatystowskiej w Chiapas a także sposób ujmowania czy też na nowo budowania postkolonialnego obrazu zapatystowskiego. W tym przede wszystkim odezwy oraz opowiadań, bezpośrednio odwołujących się do kreowania mitu zapatystowskiego<sup>5</sup>. Język opowiadań to także w pewnym sensie magia słowa, mogąca zaklinać rzeczywistość, nadając jej nowych kształtów. Podobne zabiegi używane są podczas *zmawiań*. Również tych lasowiaczkich<sup>6</sup>. Zabieg ten najlepiej widać w ostatnim opowiadaniu serii, przy okazji ukazania przebiegu kolędy.

Seria jest częścią wielu manifestów osób „wychodzących”<sup>7</sup>, przy jednoczesnym, paradoksalnym usytuowaniu ciała jako figury w jednym, kon-

<sup>3</sup> Jest to bezpośrednie nawiązanie do koncepcji anarchicznego stanowienia, pozbawionego hegemonicznych jednostek, które w ten czy inny sposób dzierżą przysłówiową buławę władzy.

<sup>4</sup> A dokładniej Beat Generation.

<sup>5</sup> Chodzi o opowiadania zawarte w lekturze „Inny Meksyk”.

<sup>6</sup> [W:] Opowieści spod Karpat

<sup>7</sup> Podlega ona raczej pod jedną z dróg „wyjścia”, dopełnia wielości i różnorodności tych dróg, które kreowane są przez jednostki oraz grupy.

kretnym miejscu (które jest jednocześnie drogą, jej końcem i początkiem, ciągle zmieniającym formy i ciągle będącym tym samym). Wiele do mych rozmyślań wniosły również idee postanarchistyczne, postlewicowe czy ekologiczne. Także „stare” bazy teoretyczne, wyrosłe końcem XIX wieku. Słowa brodatych dziadów – jak Kropotkina czy Bakunina a także innych postaci wrosłych w kanon anarchistyczny. Inspiracje moje znalazły również swe korzenie w teorii queerowej, postkolonialnej, feministycznej a także w antropologii lasu czy też forest ethnography. Przecinając tym samym różne pola znaczeniowe oraz paradygmaty.

Będąc praktykującym weganinem (tak to można nazwać?) oraz osobą uważającą się za uduchowioną (w ten czy inny sposób), staram się całkowicie usunąć także granice między tym co ludzkie a tym co „naturalne” („dzikie”, „zwierzęce”, „nieczyste”). Dlatego mogę być w tym samym momencie pszczołą, perzem<sup>8</sup> czy wiatrem. Mając materię i wcale jej nie posiadając. Antropomorfizacja tzw. nieożywionych elementów przyrody jest z kolei zaczerpnięta z demonologii oraz tego, co określiłbym mianem mitologii słowiańskiej. Czerpię więc z niej garściami. Zarówno w celu odkrycia, jak i zakrycia tego co już namacalne.

Idąc po kolei, opowiadania powstawały zarówno podczas mojego pobytu w Krakowie, gdzie przez 3 lata zamieszkiwałem, jak i po wyprowadzce z niego. Zarówno przebywanie w ramach wielkomiejskiego trybu życia jak i na oddalonej o setki kilometrów wsi, dało mi pole do eksperymentowania ze zmiennością, tak stylu jak i obrazu (społeczności, miejsc, postaci) zawartego w opowiadaniach. Wchodziłem więc głębiej i głębiej we własną drogę, aż droga przestała mieć cel a nim się stała. To jak wejście na orbitę tego koła, cyklu, który nieprzerwanie powtarza te same elementy, choć w innych koniugacjach. Zabieg cykliczności, to także moje osobiste stawienie czoła katastrofie klimatycznej. Doskonałe i całościowe zatopienie się w tym, co jest wokół, by zdobyć wiedzę dotyczącą współistnienia i współbycia z każdą istotą oraz z całą ziemią. Niszczoną i grabioną bez ustanku przez instytucje państwowe oraz przez wolnorynkowego lewiatana.

Tak więc moja droga – wędrówka dziadoska i chthoniczna, jest owocem tej pradawnej grzybni, jest korzeniem wychodzącym na powierzchnię, próbującym złapać promienie słońca. Jest budowaniem i niszczeniem. Jest stałym, ciągłym, nieprzerwanym wychodzeniem. Jest fazą marginalną. Ta wędrówka i jej słowa (już jako liście paproci) puszczałam wam wszystkim na wiatr.

<sup>8</sup> Rodzaj trawy.



OPowieści Spod  
KARPAT





## SŁOWEM WSTĘPU

Zastanawiałem się od czego zacząć. Już kilka nocy. Ćma mi zatrzepotała w głowie. Ta sama biała ćma, którą pochowałem w szufladzie starego biurka, kiedy zakończyła ćmie życie przed kilku laty na moich dłoniach. Powiedziała mi, bym zaczął od środka.

Jestem więc sosną za płotem, pod którą rosną prawdziwki, kanie i kozaki. Tą samą sosną, którą obserwowałem, dziesięć, dwadzieścia i dwadzieścia pięć lat temu. I brzozą jestem, na którą moje ciało wspinało się, wypatrując bażantów na pobliskiej łące, słuchając rechotania żab w pobliskim stawku. I w końcu piachem jestem, na tych pagórkowatych terenach. Tym samym piachem, który przeklinali w duchu pierwsi mieszkańcy. Muzyką wołoską, mazurską, żydowską i tatarską. Jestem spod lasu i z lasu. Jestem lasem i pszczołą w nim. Jestem stąd i z nikąd. A teraz powiem wam trochę, co we mnie – lesie w ludzkim ciele pozostało. Lesie, siedlisku czortów, szeptuch i mamun. Powiem wam to głosem nie-moim. Słowami żyjących i tych, którzy już odeszli. Słowami mieszkańców Dawnej Puszczy Sandomierskiej, słowami lasu.

Wszystkie imiona i nazwiska zostały zmienione – choć mowa tu o prawdziwych postaciach.

## O SZEPTUCHACH, SZEPTUNACH I ZAMÓWIENIACH

Zwitałem w progu domu Pani Marysi dwa lata temu, w połowie kwietnia. Drewniany dom, po małym remoncie, stał na granicy wsi i lasu, na granicy światów. Przez otwarte drzwi wszedłem do środka. W powietrzu uniósł się zapach ciasta i świeżo parzonej kawy. Nie minęło kilka minut, kiedy siedziałem przy stole w towarzystwie wszystkich lasowiackich duchów. Przemawiała ustami Pani Marysi.

– Ludzie zbierali zioła, suszyli, leczyli się ziołami, pijawkami – to co dzisiaj wraca do task... i bańki też. Była taka choroba co się nazywała róża. Tam była bardzo wysoka gorączka, [człowiek] był okropnie czerwony... ale stąd ta nazwa, wiesz... bo był na buzi okropnie czerwony. I żeby ta gorączka ustąpiła, to... – tu przerwała – był taki człowiek na naszym terenie, nazywał się Jakub, za lasem w Hucie i on zmaśniał tą różę. Polegało to na tym.. nie wiem jak on to... co on za modlitwy odmawiał, ale w każdym razie, najsamperw zwracał się do Boga, do Matki Najświętszej, do Trójcy Świętej. I było takich dziewięć kulek, takich Inianych, ze Inu... To tak było, że on się modlił, zapalał, tak ją dotknął do ciała, tutaj, tu na buzi – wskazała policzek – żeby nie sparzyć, tylko wiesz, tak... – podniosła dłoń i zawiesiła ją przy twarzy na odległość około dwóch centymetrów – i ta

kulka, jak ktoś był chory... leciała do powaji, nigdy nie osiadła na buzi, tylko leciała do... no i wiesz, to popiół, to się posypał. Pomagało to. Tak jak na przykład dziś w południe było zrobione, na wieczór już chory był zdrowy.

Kiedy ściszyła nieco głos, opowiedziała mi również o kobiecie, zielarce i „tej co wie”, która mieszkała pod dachem babki moich kuzynów. Kobieta ta leczyła podobnymi sposobami, była jedną z ostatnich, które parały się medycyną ludową we wsi. Czuję jej oddech na karku.

## O MAMUNACH W LEŚIE DOMATKOWA

– Tam jak były widła Sanu i Przyrwu<sup>1</sup>... tam gdzie te dwie rzeki, i tam właśnie więcej... to było tam szczególnie, były takie demony też, co prześladowały ludzi. Ale tutaj też takie było... takie... mamało człowieka, jak na przykład na tej drodze co do Domatkowa byś szedł, to mogłeś i cały dzień chodzić. Jak byłam mała, tam poszła na Bukowiec, tam do takich Kaliczów, bo tam w szpitalu była ta Pani Kaliczowa. Nie chcieli po nią przyjechać, bo była do wypisania już.. nie było telefonu, nie było nic a ja byłam z Przedborza, wypyтали się... a to niedaleko więc wiesz... to tato mówi, jak chcesz to idź. Do Bukowca zasłam, to ze czterdzieści minut, na nogach szłam. Z powrotem to było koło ósmej rano, przed dziewiątą jak żem była u Kaliczki w domu... to on mi mówił... żebyś czasem nie trafiła na tę drogę – westchnęła i radośnie odparła. – Pewnie... trafiłam... doszłam do granic, las się mnie ukazał. Jedna tylko droga była, jedna ścieżka, sarenka tylko leciała przede mną... ja jak głupia za tą sarenką. Z resztą nie było innej drogi, tylko ta była... Idę, idę i doszłam, wiesz gdzie? Tu gdzie do Kolbuszowej się jedzie, za zakrętem kawałek dalej, w tych krzakach... Kogut zapiał, wszystko zniknęło, wiem gdzie jestem... ale to już była piąta po południu. Tam mówili, to żeś musiała pójść i zbłądziłaś, tyle... Piąta po południu, człowieku... W maju to było... A taka spluskana byłam, bo to było po dyszczu, to potąd byłam mokra – przejechała dłonią na wysokości brzucha – no... to były straszydła, to były demony... były takie, po prostu... nie to że nie istniały, tylko to istniało. Bardzo dużo ludzi z resztą też po wojnie... tak zginęli byle gdzie... byli pochowani bez trumny, bez niczego... i czasami to dusze się plątały też... i ukazywały się ludziom... najczęściej tych po wojnie, najczęściej... no żadnego pogrzebu nie było, przysypany był tylko piaskiem, bo to nie wiadomo kto i skąd i stąd się to wzięło też...

<sup>1</sup> Rzeka Przyrwa. Lewostronny dopływ Łęgu. Rzeka płynąca na północ od miejscowości Płazówka.

## O DZIADZIE WĘDROWNYM I CZARUCHACH

– I powiem Ci, tyż to tato opowiadał, że pojechali na takie pod Zarębki, bo tato był z Machowca pod Zarębką, popaś konie, zanim w pole pójdą, żeby se pojadły tak... świeżij trawy. No i pojechali ze stryjkiem, no i se gado „mnie to się chciało spać, bo mnie zdarli z łóżka tak zawczasu, tom se drzemał”, a stryj godo „Kostek, Kostek, bo tam jakiś diabył ucieko po tych łąkach, no popatrz, jak ona szybko ucieko”. Nie wiedzieli kto to był, a chcieli widzieć kto to był, tyle że ta odległość była duża... Ale stryj miał biegi, człowieku, nie byle jakie... dogonił, dogonił. Tutej miała tako maskę na sobie jakąś tam, chustkę tako uwiązano tutaj, długa spódnica, ten drągal. I miała takiego drąga, co na końcu był opalony ten drąg, wiesz? To tak na ogniu było gdzieś. I w końcu ją dopadli i zdarli, żeby ją rozpoznać, wiesz? No i okazało się, że to sąsiadko z trzeciego numeru, która tyż była przeżeniona gdzieś tam, za jakiegoś chopaka czy coś. Ale prosiła ich, żeby nikomu nie mówili, że oni ją widzieli. Ale potem już jej nigdy nie widzieli na tych łąkach. I młoda sąsiadko, godo, przed trzydziestką, po dwudziestce, godo.

Stare belki w ścianie trzeszczały, za oknem szumiały brzozy. Na moich ramionach roiło się od niewidzialnych.

– U chrzestnej matki mojego taty, to kupę lat już było. Tato jakby żył, to teraz by miał ponad sto lat, a to jeszcze jego chrzestna matka była. Tak koło sto pięćdziesiąt lat tymu. Trzy krowy miała i mleka się nie napiła... bo jak nie leciała szybko ze stajni do domu, to nie przecodziło się, bo się zrobiło, taka gumo z tego mleka. I wiesz, jak to dawniej dziady chodziły tak, co to zbierały chleb dla siebie, czy tam jakieś datki. I przyszed roz taki chopek i mówi tak, żeby mu się dać napić maślonki aby miała, albo mleka, bo mu zaschło w buzi i tygo. A ona mówi, ja bym chętnie panu dała, tylko no zobacz pan, jakie ja mam mleko. Godo, macie tu jakąś czarownicę. I właśnie tak zrobił – w stajni na progu taki dołek wykopał, tam ziółka różne, zalał woskiem z gromnicki i on godo, że tu za dwa lata przyjdzie. Chyba, że się wzbogaci, to nie, ale jak się nie wzbogaci, to w drugim roku przyjdzie, zobaczyć czy się co poprawiło, czy nie. Ale jak się będzie miało poprawić, to za jakieś trzy tygodnie... on tam się jeszcze coś modlił o te odczarowania... i za trzy tygodnie, ten ktoś przyjdzie ją przeprosić, wiesz? I będzie jak ręką odjony, będzie miała mleka, masła. Za trzy tygodnie przyszła taka młoda kobieta, co się tam z kimś ożeniła z sąsiedztwa i przeproszała ją. Za trzy tygodnie. A jeszcze wcześniej głowa ją ogromnie bolała, chorowała. No i ona gwoli wyrzutów przyleciała ją przeprosić. A on jeszcze mówi tak – jak was przyjdzie przeprosić, to darujcie jej, tylko tak se stanijcie przy ścianie, żeby was nie obeszała dokoła, wiesz? Bo zgupiejecie do reszty. No i przyszła i przeprosiła, jak nabardziej. Baba poszła do stajni, no i mleka wydoiła, tyle przecodziła. O i przyszedł ten proszalny na drugi

rok, dostał masła, taką bryłę, mleka dostał na miejscu, śmietany dostał, był bardzo szczęśliwy, ale tak jak mówił, trzy tygodnie minie i ktoś przyjdzie.

Dziad stał obok mnie, coś tam pogrywał na lirze. Obok niego stał kundel z czterema ogonami. Zawodzili do księżycy i do słońca.

## O CZORCIE Z OKOLIC KAMIONKI (SŁÓW KILKA OD PANI ELI)

– We wsi, oj we wsiach, człowiek słyszał takie różne, że były. Ale zawsze rodzice powtarzali, ty się nie przejmuj i nie wierz! Ale tam stare takie sąsiadki, chodziły tam w piątki, wielki piątek do lasu, gdzieś tam jakieś czary.. Ale nie u nas... Taki Harklocz był, to uciekoł, tam ich straszło, gnało, przez okna wskakiwali! Tutaj dawniej, pan, to się cuda działy tu we wsi. Harklocz jak po górach chodził, aż się zastrzelił z tego, bo go gdzieś tam coś straszło... Były te demony w świecie. Ten Harklocz to gnał, bo go goniło jakieś takie... białe zezwierzęcone.

To jedne z ostatnich słów Pani Eli, dobrej znajomej Pani Marysi. Tej samej Pani Eli, która na odchodne podarowała mi świeży bochenek chleba i życzyła wszystkiego dobrego. Rok później odeszła. Dziś być może stoi ze wszystkimi duchami na moich ramionach i czyta własne słowa. Jej poświęcam te bajania.

## OPUSZCZONA CHATA POŚRODKU LASU

Zaprowadził mnie do niej rudy kot, który pojawił się znikąd i zniknął chwilę później. Stał na skraju polany i pyszczkiem wskazał opuszczoną chatę. Kot, który w samym środku lasu wtopił się w liście, rozpułnął się niczym mgłą. Zaprowadził mnie wprost do chaty. Musiała tam stać przeszło dwieście lat, wnioskując po jej stanie.

Chata była zbiorem legend, tchnieniem lasowiackich przodków i wszystkich czaruch. Stoi tam do tej pory. Tuż za nią znajduje się drzewo zniszczone przez piorun. To kapliczka w hołdzie Leśnemu. Na jej przedniej części nieznani ułożyli kilka wapiennych kamyków. Kiedy tam stoję, zamieniam się w jeden z tych kamyków. Zastygam w bezruchu. I słyszę już tylko szum brzoź i sosen. Rudy kot stoi na granicy światów razem z dziadem z lirą i psem z czterema ogonami oraz ze mną. Za nami mającą postacie. Te postacie to słowa spod Karpat.





# ZBÓJNICKI



Ten dom stał tu, zanim ktokolwiek pomyślał, by jakkolwiek inny dom tu stawiać. Cały jest drzewiany, błyszczący jego ściana, której przyglądam się bez ustanku, za każdym razem, gdy tylko wracam tu myślami, powracam tu ciałem. To moje ciało z kolei przeobraża się. Raz jest szumem brzoź, klekotem bocianim, wyciem wilka. Raz cichnie i zamiera między mchem, raz wysycha w silnych promieniach słońca, jak ten cały perz, który tu rośnie. To ja rosnę. Piasek jest moją krwią.

Zatruli nam świat, wycięli mi ciało. Reszta mnie ucieka, lub przewraca się bezwładnie. Moje łzy przestają wiele znaczyć.

To materiał przeznaczony do sprzedaży. Kiedy to ciało obumiera, przeobrażam się znów, w pszczołę i w wilka maszerującego przez gęste bory. Gadem mnie nazwali, wypatrują, nazywają i strzelają, wyszukując usprawiedliwień. Krew bordowa spływa mi po nozdrzach. Jak silni jesteście, zamknięci w tych czterech ścianach, z przedłużeniem oka – lunetą? Z białego kła duch mój ulatuje i duchy jedynie pochowane i zapomniane spoglądają na mnie z wierzchołków dębów. Ja – pszczoła, zbiera wtedy nektar z kwiatu śmierci. Dziady tańczą.

Ukryłem się więc w chacie, do której ścieżki zapomniano. Tu jedynie echo bije ze ścian. I choć to pozostałość po was – ludziach, jest naznaczona upadkiem. Jeśli zrodzę się z popiołu waszego starego świata, ukryję swoją twarz. Być może nie będzie ona wtedy tak ludzka i zachłanna.

Poszarpana odwiecznym marazmem, złością i zawiścią. Przeszanie płakać i przestanie też śmiać się. Stanie się głazem porośniętym mchem. Będzie tak delikatna, jak wiatr po burzy. Wtedy narodzi się ponownie i znów i znów.

W tej pustce współczesności bratam się z cieniami, rozumiem ich mowę. Słowa nie tworzą więc języka, są tak samo bezgłośnie jak rozwijająca się paproć. Ta sama paproć, której nawet ludzka ścieżka nie przeszkodziła. Rekolonizacja zawłaszczanej ziemi. W tej pustce, choć zdaje się, że widzicie mnie jako cielesną powłokę – ja sam, utworzony jestem z tego, czym karmi mnie ta puszca. Jestem więc tą brzozą na którą spoglądam i rozmawiam z jej cieniem.

Pszczołą bez ludzkiego ula. Wilkiem, któremu lufą grożą tłuste kałduny państwowe. W końcu też mchem, tą chatą zarośniętą, ukrytą z dala od was. Haftuję kolorem krwi moje dłonie. Wyrastają na nich grzyby. W tej pustce słowa Innego nie brzmią dla was już znajomo.



**W**znieśliście mur, by Innego wypędzić z królestwa, które nie istnieje. W puszczy postawialiście pachotki, ubrane w wielokolorowe formy. I tak samo, jak we mnie wcześniej, wilka – celujecie do wędrowców i uciekinierów swoim okiem bezmyślnym – lunetą. Lecz oni tak jak i ja- ciało w wielu formach, odrodzi się, bo ono nigdy nie umiera w pełni. Las pamięta. My, mchy tej ziemi, piasek w waszych przegniłych na wskroś oczach, wiemy co robić. Im was więcej, tym i nas więcej. Naszych twarzy nie ma. Możecie szukać króla – król dawno umarł. Nie przewodzi nam nikt, prócz nas samych. Nie straszny nam deszcz ni burza.

Jesteśmy uciekinierami, jak nasi przodkowie, jak nasze przodkinie, włóczęgi Welesa. Śpiewamy nocą, gdy wokół tańczą wiły. Ogień nie pali nas w dłonie, bo to z naszych serc pochodzi.

Jestem więc cieniem, krwią tego miejsca, ciałem bez ciała, drogą porośniętą paprociami i paprocią. Słucham słów bez słów, języka którego nie ma dla was, bo już dawno przestaliście słuchać. Nie śmieję się już ani też nie płaczę. Trwam jak byłem. Moja twarz ukryta. Tylko dym czasem z jej ust się wydobywa.







O ZBÓJU WALI



O zbojcu Madeju  
Był las ciemny a w tym lesie  
mieszkał zbojca bardzo mągi  
Z wielką pałą, jachtomona,  
Siadał koło drogi  
Miał kamratów, którzy jego rozkazy słuchali  
Kto przechodził tędy drogą, tego mordowali  
Zabił oca, zabił matkę i nożeństwo swoje  
I w tym lesie smutnym czarnym miał mieszkanie swoje  
Raz w przepiękny dzień mający  
Jedną wóz ubogi  
Na nim siedzi w czarnej szacie  
Jakiś klejki młody  
Gdzie masz srebro śloto,  
Gdzie Twoje klejnoty  
A klejki mu odpowiada  
Jam bogaty i cnoty  
Śloto srebro nie pomoże  
bo trzeba umieć  
Ale dusza będzie w piekle  
Trzeba się spodnieć  
A zbojca się zapytuje  
co w piekle dla niego.  
Ostre brytany, ostre noże  
To nagroda jego.

nieka przysła - teżś wiera  
← BUDNIE

Ostre brzytwy i noże zamieniam w słowa. Te, w językach zapomnianych, niczym węzowy syk, zamieniają się w broń. I choć o Madeju nie będzie tych słów tutaj. I choć ten – jeden z wielu, zbój, opiewany przez leśnych bardów, stał się ikoną, tchnę tyle głos zapomnianym. Tym Janosikom, Szelom, Dowbuszom ale nie z gór wysokich. Tylko z tych pagórkowatych łbów zatraconych w leśnych ostępach. W bagnach, mchach i pustych konarach powalonych brzoź. Bo gdzie jaskinia ze świętokrzyskiego a gdzie bagniska Sandomierskiej Puszczy?

Po zbójcu łby w lasach koczujące, obrośnięte paprociami, szeptającami szeptuch. Na głowach, jak siedzą, sterczą im czapy brązowe. Z nich pompony zwisają czerwonawe. Na policzkach wyrosły im huby. Stare z nich dzieje. I w nich stara oskoła płynie, to ich krew. Przezroczysta krew matki Ziemi, Mokosz. Ich skóra zamieniona w korę. Na korze z kolei gdzieś gdzie takie czorne diobły wyskakują. I te diobły to leczyły z dawien dawna, ale ludziska już nie pamiętają. Zapomnieli o tych porośniętych zbójach. Poszli w czorty kamraty. A teraz boją się ich ludzie, ale nie dlatego, że to duchy, tylko temu, że zapomnieli o nich. Ot tak. Trujące, tyle. O łbach tech z kolei wiatr niesie słowa.



Domastawa (dziś Domostawa). Tam też złociła się, promieniami od Daźboga framuga drzwi w jakiejś starej, drzewianej, bielonej jeszcze wapnem chatce. Nie duża była to chatyna. W sam raz na zbójów kilkunastu, coby se dobrze pojedli i popili. A i lec zmęczonym było gdzie, bo po lasach to często za zimno było siedzieć. Zbójce to przednie były. Nie tyle co jakie roste chłopy, czy jak w tych mądrych książkach pisali, o olbrzymach jakich. Zwykłe to były, ni to roste, ni jakoś wybitnie silne postacie. Śród tych zbójów i takie były, co ni to baby ni też chłopy. Ale co za różnica do cholery, skoro dobre z nich były zbójce. A bo to kogo obchodziło, komu tam bliżej do jakiego ciała, czy z kim tam w sobótki kwiatu paproci szukał? Z resztą tam i często w wielomiłoś popadali, toteż bliscy sobie byli wzajemnie. Ale jak już trzeba było do bitki, to za ostre noże, siekiery i dębowe pały jak jeden mąż każde z nich chwyciło. A jak kto taki dębowym kijem w łeb zarobił, to często i tydzień leżeć mógł. Odkłamać trzeba też, że śród tych dobrych ludzi, sami tylko złoczyńcy czy jakie inne wyrzutki. Ci to i pana i ekonoma, biskupa i galicyjską szlachtę w tłuszc obrosłą często pogonili z siekierką. Odpustowym, ubogim dziadom co to co roku w pielgrzymki szli, te złote monety później w portki sypali, żeby się powodziło. A to monety brzęczały za każdym razem po wiosennych i letnich wyprawach poza dzikie Puszczy ostępy.

Był tam niejaki Wala<sup>1</sup>. Swojak jak się patrzyło. Za tą chatyną, co to nie tylko jego była, las długi się ciągnął, dobre dwie mile. Wilki tam często się

<sup>1</sup> B. Lorens, Lasowiaci i Puszcza Sandomierska we wspomnieniach księdza Wojciecha Michny, s. 150



przechadzały. Te, którymi teraz państwowe usta straszą bojaźliwe głowy. Strzelają, przeganiają. Tam w tej chatce, Wala – zwykły chłop, ni rosty, ni też olbrzym, zimą przesiadywał z kamratami, czekając nadejścia pierwszych wiosennych wiatrów. W obejściu postawili zbóje kapliczkę, niby to z chrześcijańskim Krystusem, bo ponoć lud ten puszczkański pobożny był. Każdy jednak z nich w głębi duszy i w tych sercach twardych jak głazy z dawnego koryta prastarej rzeki wiedział i czuł więcej. Znali, że przodki co noc tańcowały po lasach. Ich muzyka tak była donośna, że nieraz zdarzało się, że obudzony w środek nocy zbójnik, jedno z drugim, szły w tany, wracając zmęczone nad ranem, obdarte jak psubraty. Wala też tańczył. Za sprzymierzeńca miał sobie pana lasu. Leśny często zaglądał przez okiennice do chaty. Szczególnie jak zbóje późną jesienią wracały do izby nagrzananej, kiedy jelenie – syny Leśnego, gody kończyły. A przed każdą taką wizytą, znać było że pan Lasu zbliża się, bo z tych wysokich choin co to rosły głęboko w Puszczy dalej, rozlegał się przesywający gwizd<sup>2</sup>. A Leśny, choć wielki bywał, czasem przybierał rozmiary myszki, czasem w zygzakowatą zmię się zamieniał i po kątach chował się w tej izbie. Podśłuchiwał wtedy opowieści z drogi. Bo gdzie zbóje zawędrowały, tam inne stare duchy ich nawiedzały. A że zbójeczek tby, już dawno oddały dusze swe starym bogom, to i duchy wiedziały, że tamte ludziska swoje. Stały się więc z czasem zbóje, istnym kufrem, co to przechowuje święte słowa niezapisane, jeno niegdyś z przodków i przodkiń ust wyśpiewywane. A Leśny słuchał, bo to jemu też bliskie było. Sam z dawien, zanim jeszcze osiadł tutaj, przechadzał się po rozległych ziemiach. Zanim jeszcze bogi nie zasiadły – jeden u korzeni, drugi zaś w koronie wielkiego dębu, co to dziupla w nim domem była Leśnemu.

Zbóje to były kundle takie – bo i tam w ich żyłach tatarska krew płynęła, żydowska, mazurska, litewska, wołoska, niemiecka.. a i szwedzka czy ruska się znalazła. Niektórym z nich nadal cygańska śpiewka w głowach pogrywała, i dziwnie jakoś tak czasem zaciągali. Ale droga im obcą nie była. Szaleńcze wizje kierunek im często nadawały, toteż brali sprzęt w stare, sparciałe już kalety i ruszali w tany z czortami. Wracali później wymęczeni, by lec w spokojnym kącie.

Jednak w końcu takie też czasy nadeszły, że i Wala i cała banda, wszyscy kamraci, pod nóż iść mieli albo zawisnąć. Panom krew się zagotowała, że interesy im psują i jakieś te szlachciańskie zachcianki narodowe niszczą, śmiejąc się z całych sił w ich zaczerwieniałe od gorzały mordy. Zbóje uciekać musieli, więc rozbiegli się po całej Puszczy, coby ich żaden z tych posłańców nie złapał. Bo żyli nadal swobodnie. I tak też umrzeć chcieli.

Zanim jednak odeszli, wszyscy Leśnemu złożyli w ofierze swoje ciała ludzkie, kruche takie i nietrwałe, żeby ten pierwszy tchnął w nich raz jeszcze po ich śmierci nowe życie. Żeby na powrót w ich żyłach popłynęła krew, żeby skóra stwardniała, żeby ich słowa zamieniły się w kwiaty i wielkie paprocie. Tak też Leśny zrobił. Rozbiegli się więc po Puszczy. Wa-

<sup>2</sup> L. J. Pełka, Polska demonologia ludowa, s. 105

la uciekając, gdzieś na pograniczu zastrzelony został z rąk jakiegoś strażnika przygranicznego. Tamtego las przeklął i zgnił na bagnach. Wala obrósł mchem, zgodnie z tym, jak umawiali się z Leśnym. Cała banda porosła również. Głowy, ramiona, tułowia, genitalia, kończyny. Gdzieniedzie rosną teraz na nich grzyby, tuż obok paprocie – słowa niesione przez wiatr po polach i lasach. Na niektórych zbójach wyrosły i te diobły czarne. Leśny co jakiś czas splotuwa na nich, by tchnąć w nich na nowo życie. Robi to co roku na początku wiosny. Wtedy też w ich żyłach zaczynają krążyć życiodajne soki.

Te soki i teraz mieszkańcy zbierają, wierząc w młodych brzożach. Woda niesie życie, jest krwią wszystkich zbójników. Czarne diobły niegdyś zbierane były na różne bóle. Na dalekim wschodzie nazwane Chagą. Błądząc teraz po lasach, spotykam czasem jeszcze kilka porośniętych zbójów. Kłaniam im się w pas, życząc dobrego dnia. Bo choć Pany ich zniszczyły, wyгнаły w dzicz, oni tam dalej są. Ich soki krążą, a jak dostaną się już na stałe do zmęczonych naszych głów, zbóje powstaną. Kiedy w lasach, z wysokich choin, za donośnym gwizdem pójdzie cała orkiestra radosnych pogwizdów, runie mit jeden z drugim. I nie pomogą wtedy żadne betonowe mury, gazy, zasieki, policyjne pały. Nie pomogą psy naurane – łby wygolone, mięso do bicia. Zbóje nie umierają nigdy do końca. A pomoc niesie im noc, która ciemnym płaszczem pokrywa gęstwiny. Szumią wtedy gałęzie i pieśni. Dłonie zbójów są wyhaftowane w kolorze krwi.

Tak więc schylam się nad jednym ze zbójekich łbów, drzewiane ciało mech porósł. Jest spokojne – to ciało, jak spokojna jest moja głowa, kiedy wiem, że zyskuję na powrót siły. Tak spokojny jest też Leśny, bo wie, że ja też jako ciało, oddałem się mu, podpisałem pakt drewnianym paluchem na korze starego dębu. Więc leży tam w liściach, późną jesienią i wita mnie, niewzruszony, wita jak swego.







WILCZY KIEŁ



WILCZY KIEŁ

DESIEŃ\*

*[...] To Ci powiem co mi mój tatuś mówił. W 39-tym roku były ogromne mrozy... i wilki przeszły przez Wisłę... tutaj... na te tereny... i one były takie paskudne, że paczyły przez okna. Paczyły, zaglądały do okien. Domy były niziutkie, to wiesz, one z reguły tak się... ludzi, ludzi się tego, nie czepiały, tylko głównie zwierząt się czepiali, wiesz?*

– Fragment wywiadu z Krystyną Saj  
Przedbórz, 2019

niech historię spiszą  
Ci, którzy wyszli...

## ŚWIT. FAZA PRELIMINALNA.

Sprowadzili ciało na ziemię na przełomie systemów. Jak okiem sięgnąć, ni to noc nie była, ni też dzień. Jakieś takie blade światełko migało jeno przez okna. W tymże bladym światełku oczka me załśniły, koloru wielkiej wody. Czas to był, kiedy jeden kolos na stalowych nogach właśnie padał. Drugi już Ci pędził zza siedmiu gór i lasów. A i machał przy tem foliowymi torebkami wypełnionymi po brzegi jakimiś takimi dziwami – ni to drzewiane nie było, ni z tej rudy co to tu w okolicach dobywali. Paciorki tam stukwały, z czorną breją puszek aluminiowe, kolorowe płoty i neony, błyszczące samochody, złote klamki, witryny, kredyty, kamery, samobójstwa, żywiołowe klęski, wypalone ziemie. I mnie chcieli w prezencie tego złotego cielca podarować, cobym nowiuśkich nabrał zwyków<sup>1</sup>. A mi tylko kojda<sup>2</sup> była wtedy w głowie. Małe me ciało, kruche takie, bujało się w tych polach na wietrze. Wędrowało i po tych lasach, choć jeszcze dobrze gadać nie potrafiło. Kiedy już dojrzało na tyle, by obserwować błady, stary księżyc, dziady swe rozpoznawać a i śnić, tak się wtedy zdarzyło.

Jesień już zakotątała do drzwi, ciągnąc za sobą rudy ogon z wyschłych liści dębowych. Chwilę przed tym jak zabrało mi prababkę. W tym budynku co to zowią domem, na jego samiuśkim środku, stała stara, drzewiana komoda. I ciało me w koło niej radośnie tańczyło. Tak tem tańcem w końcu zmachało się, że padło. I sen w jej myśli wtedy się wdarł, twardy jak ten głąz z koryta prastarej rzeki. Teraz ciężko mi już spomnieć, czy to jaka magia była, czy jakie inne czorty, bo ból mi w środku taki ostry zrodził się w jednej chwili. Ukłucie takie, dokładnie jak wtedy, gdy wyrwało mi serce. Stało więc me ciało a w koło nic nie było, jeno ta komoda. Po plecach dziwny dreszcz mi przebiegł. Ciało me – w tym śnie a może już i poza nim, sam do końca nie wiem, spoglądało za okna osadzone w drzewianych framugach. I jakby w jednej chwili uniosło się, kolebiąc stopami. Za oknami już stare słonko rodziło się, księżyc zaś uciekał przed nim, blednąc i blednąc i blednąc raz po raz. W tychże resztkach światła i zarazem początkach jego, jakby z mgły poczęły postacie wychodzić. Jedne szerokie w głowach i tułowiach. W oczach ich, znać było jedynie dzikość, jakby spod podziemnych, ostatnich korzeni Wielkiego Dębu powyłaziły. Drugie kosmate takie, niby psy leśne, co to gromadami ludzi nieraz pogonią a zębiska mają podobne jak strzygonie. Ciało me stało i jakby w ziemię wrosło, choć wisało nad nią nadal. I ból ten pogłębił się i wiercił i na wylot przesywał, jak tylko postacie wyraźniejsze się stały. Wcześniej tańczące beztrąsko ciało małe, teraz zawieszony u powaj<sup>3</sup>, ostatni w końcu dech puściło. I widziało już tylko kosmate podobizny w koło, widziało je z wszystkich światła stron. A strony te, przestały na raz istnieć. Złazy się niby w ulewny

<sup>1</sup> zwyczajów

<sup>2</sup> rodzaj kotyński

<sup>3</sup> drewniany strop

dzień w jedną, nie znaczącą więcej jak nic całość. Wilki to były, choć przeosięte, na dwóch nogach stały, mamrocząc jakby w transie pod nosami – hajda, hajda, haj...

Później nie było już nic. Błede ślepiea księżyca i rodzące się Słonko. Duchy w koronach drzew i jeleni ryk. Przejścia bez-czas.

## W DRODZE. FAZA LIMINALNA.

Nie spomnę, kiedym na powrót się obudził. Ciało to, któremu nadano imię, nosiło je, gdy wodą głowę mu zakrapiali. Tak też było, że nazwano ciało dokładnie jak i mnie. Choć i bez różnicy, bo imion jego w drodze przybywało. Tak jak i imion tak i wiosen przybywało. Tyle śmierci słonka, ile narodzin bogiń i bogów. Tyle słów zamienionych w paprocie, aż zgęstniały bory, w których to ciało dawniej zasypiało. Tyle bordowych też ile martwych syren na brzegach zatrutych rzek. Tyle w końcu pieśni i krzyku ile w płucach sił. Wiosny zataczały krąg. Raz bujny perz złocił się w promieniach, raz ten perz nikł i umierał. Na ziemię leciały złote liście, to znów skrzyp rodził się i pokrzywa, wtem biel usypiała małą leśną działwę i zaklętych w brzozy zbójów. Chwilę później Leśny człapiąc między wysokimi choinami, spluwał na ziemię, a soki krążyć zaczynały. Po polach z kolei Jaryło gnał a z jego nasienia wyrastały pąki maków i zboża. I tak to w odwiecznym kole zaklęte, działa się co dwanaście pełni.

Ciało zestarzało się już, choć jeszcze ilością zmarszczek tym wędrownym dziadom nie dorównało. I ciało w końcu powoli zapominać zaczęło o kosmatych bestiach i o śmierci wielkich traw, o Leśnym. Wrastać zaczęło w betonowe skrzyżowania, miast ciemne bramy. Bywało i tak, że blisko był ten złoty cielec, a jego nabuzowane, obco brzmiące jądra spadały ciału na ramiona. Skurczyło się w końcu ciało, przygniecione, coraz bliżej i bliżej ziemi. Zachorowało. Choroba ta, zdaje się, nie była czemś nowym zupełnie dla innych, bliskich mu ciał, bo i takie czasy były, że i inne ciała bardzo chorowały. Toteż z tym ciężarem kolejnych, jak dobrze mi znać, wiosen przeżaziło. Aż ból stał się nie do zniesienia. Ciało nie wytrzymało. Znikło. Wyszło. Tak po prostu. Ganiał je jeszcze po bezdrożach złoty cielec. Posyłał też za nim swoich watazków, zgrają dziwacznie tak poubieraną, jakby jednakowo. A wszystkie jak jeden, woniły trupim jadem.

Droga, choć zdawać się mogło, że w późnoletnich jeszcze promieniach, ciepłem pokryje niczym płaszczem plecy ciała, robiła się coraz bardziej zarośnięta. Mróz chytał powoli za stopy. Te, wymęczone wędrowką, dały się w końcu mroźnemu dechowi wiatru i przestały z nim stawać do bitki. Wpadło ciało w bez-czas, dokładnie jak wtedy, gdy przybyły kosmate wilki co to wilkami nie do końca były. Choroba w tem cielem wiła się jak żmija jaka, sycząc i kąsając raz po raz. Ale bez-czas robił swoje. Żmija rozciągnęła się do niewiarygodnych rozmiarów i schnąć zaczęła. A to dlate-

go, że w tem jeziorze łez, które głowa ciała nosiła, susza nastąpiła. Spragniony gad wysychał, jak ten na słonku perz. Choć twardo się trzyma do tej pory, to już ogon jego jakby z tych suchot w pył się powoli zamienia.

Tak też było jednej nocy- niebo pełne światełek kołysało się w rytm muzyki, co to dobywała z ciała głowy, bo i leczyła się w ten sposób. Błady księżyc, pan nocki, piął się ku koronie Starego Dębu, skąd widok miał najlepszy na swe nocne dzieci. Te, powykrzywiane, odrzucone przez chore cielca ciała popadłe w marazm, wyłaziły ze swych jam, nor i dziupli. Bose ich stopy, raciczki, kopyta, głąskał zbójcecki mech. Ciszy nie znać było. Bo czy kto kiedy słyszał ciszę w nocnym borze?

Ciało niezłęknione nocy, bo z nią już za pan brat było. Podpisało uprzednio pakt z Leśnym, więc i bać się nie miało czego. Obserwowało jak przez mgłę ciemną, mroźną noc, bo jeszcze resztki w jej oczach łez krokodylich się dobyło. Wtem uszu dobiegł dźwięk znany. Nie była to ta muzyka, co to w głowie wołoskie skrzypce przypominała, jeno coś dzikiego. Tak dzikiego, że świat wirować zaczął, wszystkie leśne zmory zbliżyły się, ich szept był wyciem wilków. I wiedziało już ciało, że te powróciły, kiedy ich bardzo potrzebowało. Niby tułacze diabelskie, widać ich nie było, świat jednak słyszał, że przybyły. Bo w tym borze nocą, nigdy ciszy byś człeku nie zaznał. I wtedy jej zbrakło. Ciało na powrót uniosło się, tym razem jeno do nieba powaji. Dalej już tylko bez-czas. Ten sam. Niezmienny.

Kosmatych jedynie nie było. Ciało opadło tuż na pograniczu, tam gdzie mroczny dla jednych las się zaczynał i gdzie szerokie pola, na skraju wsi. Śród zbójceckich brzóz starych, buków, jaworów i sosen. Bór za tą granicą rozciągał się, skrywając tajemne miejsca, czorcie siedliska, sarnie ścieżki i wodopoje. Na łące z kolei duchy czasem się przechadzały, czuć je było po chłodnym wietrze, który znikąd pojawiał się. Drzewa o nich gadały, skrzypiąc i stukając o siebie gałęziami, hen w górze.

Ciało opadło i korzonek wyrós na wysokości pępka. Tykać więc ciało poczęło tego korzonka i wyrwać próbowało, jednak usłyszało wtenczas te słowa – Puść chopie! Skąd głos dobiegał, nie wiedziało z początku, toteż zdumione i wystrachane z lekka, próbowało krok zrobić przed siebie. Ale nie mogło. Korzonki i ze stóp mu powyrastały. Cienkie witki, wiły się jak wiły na łąkach, tworząc całą sieć cieniutkich niteczek, niczym grzybnia jaka. Złały się w końcu w jedność a z tej jedności trawy wysokie powyrastały. A w koło tych traw świerszcze i chrząszcze zasiadły. Jakby przyglądały się i jakby czekały na coś. I ciało ogarnął błogi spokój, w głowie te wołoskie skrzypce brzmiały już tylko jak świst. W końcu cisza nastąpiła, choć tej ze świeczką w borze takim jak ten szukać. A z ciszy głos dobiegł. I nie był on żaden boski czy anielski, czy też czort wie jaki. Ten sam głos, który rozkazał zaprzestać. Szorstki był, jakby z samych czeluści dochodził, choć spokojny. I taki jakby... znajomy. Ciało więc wiercić się przestało i razem z temi świerszczami i chrząszczami usiadło spokojnie na ziemi, kładąc dłoń na wierchach tych traw wysokich. Odpłynęło. Jak te chmury, na sznurach obrzymów.



## ŚWIT, WTÓRNIĘ. FAZA POSTLIMINAL- NA.

Gadały tak, te wilki. Stare ich słowa niosły się na wietrze.

Delišmy wom, ludzieska puscańskie, noc, kiej<sup>4</sup> wam kark słońko spiekało na tech psycakach<sup>5</sup>, polach i ugorach. Paniska bzuchate zagryżyłyśmy, coby wam za skórę nie założyły a i jeść beło co. W okna zaglundałyśmy, my wilki borowe, bo i Leśny tak robieł. Nam los dziadoski pisany. Bo i jak te dziody, swyj ziemi mamy koniec tam, gdzie i nase plecy umencone się końcom. A jak juz na dłużej psycupniem, to tej matki nasyj – ziemi i uojca lasu, kłemi bronieimy. Idziewa<sup>6</sup> do nigo całą zgrają. Tak i wam chopy dajem radę, ziemi swyj brońcie, jak my, kłemi swemi. Ale flag zbytanych nie dobywajciez, bo i po co. Od brunatnych kłów podrabianych z dala się tsymoicie. Zodne tam państewka liche, ani polityki zodne, ocąt wam niech nie przysłonią. Niechaj wom te zbóje, co i my kiej byliśmy niemi a i później obok nich cichutko nikliśmy, muzyckę grajom. A takom skocnom, azeby nowem penom<sup>7</sup> portki pospadały jak uciekoć bendom. To jus cas. Niechze bendzie pokwalony bór sosnowy i szyćkie duchy i zmóry jigo. My z tech złech i dobrych jednako, bo i nase kły krew ludzkom posmakowały i ludzkie ciała ratowały. My z dala od was, bo nie sposób was pojonć. Ale u nas zawse na pomoc wołać, to i za wami staniem w obrońie. A jak się zgubita, nie bójta się, tam i nase ściezki gdzie i saren. Las nam uochromom, bo i ten z dołu z cornom brodom i ten z góry z brodom w piorunach ji szyćkie bogi znajom nase słowa. Corna nam bandera jeno powiewa, zodne inne. Ale nie na stanicach, co ocęta miejskie pacom na nie, a w sercak nasyk. A te płonom od kiedyśmy w drodze.

A Tobie chopie, korzonka wyrweć nie trza! On mimo Twojej woli rós bendzie, i wstydzić się nie ma co, a tylko paczeć na niego i pielęgnować go. Jakżeś wrós w te ziemie tak w nij siedz. Póki mozes i póki my, wilki, jesteśmy w poblizu. Poc'kaj<sup>8</sup> i śnij, bo godoć juz z nami umis. Jakżeś wyszeł to zostań. Świat, które Ci fundneli te nowe peny, umiera powolutku. Miej miłość, choć serce mos pogruchotane i miej siła, coby tem nowem penom zaleś za skórę znów i znów i znów. I nie cepiaj się tych co się pogubieli, znajdom się i oni, jeno troche wincyj casu poczebujom. Cepiaj się tylko i tych, co krwiom nasom zyjom, uojca nasego dziatwe tnom w pień. Im szczerz kły swe. I tym tez, co nas, wilki martwe jeno widzieć chcom. Ci, co dla rozrywki do nas ze srebrzanych ocków miezom a bojom się nas. I tem psom wściekłym, co to ujadają za dnia, w nocy zaś chowajom się spłoszone. Tem tez co w budach granatowych siedzom. Z ich dłoni brud-

<sup>4</sup> kiedy

<sup>5</sup> zagon poprzeczny

<sup>6</sup> idziemy

<sup>7</sup> panom

<sup>8</sup> poczekaj

na smoła sptywa, bo zywiom się śmierciom nasyk. I tech w końcu co na góze siedzom, niby to nietykalni, im zsyłaj co dnia swój gniew. Bo widzimy jak w głowie Ci rozpacz tli się, smutki i wyczerpanie. Nic z tym. Z popiołów starego świata niech teraz już nowy się rodzi, i żeby tek światów pełno beło i żeby razem walczeły, miast samyk siebie po łbach tłuc.

Cas nas zbliża się i w uojca lasu odmenty zmiezamy, bo dzień już nadchodzi i słońceko wyziera. Hajda tam kamraty, zbójów zebrać cas, hajda.

I gadał jeszcze wilk po drodze a inne dołączały i wtórowały mu. Tak gadał, że wszystkie mądrości kły pogubił. I odszedł, już bez zębów. Te z kolei rosnać poczęły i na wiciach, które ciało plotły, kilka centymetrów nad ziemię się wzbiły. Wilcze to były kły.

A noc ku końcowi zmierzała, i słońeczko jak zwykle, zza sinych od mrozu choin poczęło się wychylać. Oczy ciała, choć widziały w koło wszystko, naraz zarosły korzonkami. Jednak nie rwało ich ciało, zgodnie z wilczym słowem. Dało mu jeno wejść głębiej i głębiej. Tak zarosło ciało. I ja zarosłem z nim. Leśny patrzył jedynie co jakiś czas, schowany kilka metrów dalej. Jego broda wirowała na wietrze wśród zbójcekich brzóz.

A z ciała słowa znów się dobyły i poprunęły do boru, tam gdzie niegdyś prastare koryto rzeki płynęło i w paprocie się przemieniały. Duchy też powtarzały. W konarach brzóz zbóje i wszystkie dzieci Leśnego. Tak też i ja zacząłem.

### **STRZEŻ NAS BORZE!**

I jesień już zamykała się w tym kole, z nieba spadł pierwszy śnieg. Pochowały się wilcze kły w trawach. Ten kto je w czas dostrzegł, niech nie boi się zimy. Stare pieśni znów śpiewane będą, krzyk znów z gardeł się wydobędzie, kiedy nadejdzie właściwy czas. I tak jak te zbóje, czas przycupnąć do wiosny, kiedy słońko odradzać się będzie. Później nic, później jeno w tany z czortami.

Teraz nastał czas mroku. W tym mroku wilcze ślepia nie giną. Wilki szczerzą kły. Za kłami w czerwonym płaszczu stoi Wołos. Czarna jego broda sięga korzeni i wszystkich myśli wilczych.

Tak było gadane.

ŚWIĘTY NIKOŁAJ

WĘSICHO. RAJ

ZAMKNI. PYSK

POU. WŚCIEKZEMU

DARZ. WILKOWI

BO ROWEMU

## POSTSŁOWO

Migracja wilków trwa nieprzerwanie. Kilka lat temu pojawiły się na powrót na terenach Dawnej Puszczy Sandomierskiej. Wędrownikom towarzyszyły nocne okrzyki radości – ich wycie. Rok temu państwowe instytucje (Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad oraz Zarząd Dróg Wojewódzkich w Rzeszowie) postawiły płot warowny przy DW987, argumentując swój wyczyn rozprzestrzeniającym się afrykańskim pomorem świń. Nazwali to walką. Poustawiali za siatką myśliwskie ambony. Skutecznie odcięli drogę migracji wszystkim leśnym mieszkańcom, w tym też wilkom. Te z kolei w poszukiwaniu innej drogi, zaczęły przemieszczać się na północ od Przedborza, gdzie też ich śladem było właśnie donośne wycie. Trzy lata temu przez kilka miesięcy słuchałem ich okrzyków, toteż na pamięć je znam.

Jeśli i do nich strzelać zaczną, argumentując tym, że wsiach się pojawiły, to najpierw znajcie ten kontekst. Płot. Płot za płotem. Zagarnianie przy tym na potrzeby państwowe ogromnych połaci starego lasu. A kiedy postawią kolejny, znów zagarną co nie ich. Zawłaszczania ciąg dalszy.



PYL  
CZARCI ORSZAK



*W lesie mieszka diabeł, który pomaga zbójcom zbierać pieniądze. Poza tym lubi wodzić podróżnych po bezdrożach. Pokazuje się najczęściej w postaci „panka” w ubraniu leśnika. Poznać go można po tym, że jak ktoś wymówi przy nim imię Boże, to włosy mu się jeżą i ogień z gęby bucha.*

- Archiwum Katedry Etnografii i Etnologii Wydziału  
Humanistycznego Uniwersytetu im. M. Curie-Skłodowskiej  
w Lublinie (materiały z badań terenowych  
prowadzonych w latach 1962-1965)

*Czy nas wpuścicie  
Czy nas nie wpuścicie?*

- lasowiacka przyspiewka kolędnicza  
z „Misiem” (turoniem)



## SŁOWO PIERWSZE

Tańcuj misiu ubogi, bo masz przebite rogi, starom derkom przykryty. Ogon tyż masz przybity. Ogon misia nie zwodzi, diabeł leśną ścieżką chodzi.

O dioblach mawiały też stare babki co drzewiej łukiem Karpat chadzały. Coby nikt na leśnych drożynach namiotów swych nie stawiał. Bo i tam diobły łążą. Nocami zaś szczególnie. A czy teraz stawiają? Kto wie. Czorty natomiast łążą, bo co rusz jakiegoś czuć. Ale nie są to te złe ani dobre też. Jeno stare duchy, zaklęte pod postacią zwierząt. Tych jeleni, saren, zajęcy, kruków, sójek. Wilków, ludzi... Noce już stają się dłuższe, więc i te postacie maleć poczynają. Niebawem na niebie pojawiają się nici pierunów. Odwiecznej wojny czas. Nie do spomnienia, który to już raz zaświecą toną nad głowami. W tańcu wiatrów, wiejących z kaźdej świata strony w tany ruszą i ciała i duchy. Zaklęte w kole.

Chodźwa przeto z nami wszystkie. Wykluczone, wypaczone, z jam i nor, spod liści wilczej jagody, gdzie stara czarucha siedzi. Szeptając szepciańce. Chodźwa spod błyszczących neonów, ze stołków barowych, z wygodnych foteli. Gdzie cielca złotego swąd siarczysty. Chodźwa z tech ulic krwistych, ciemnych bram i piwnic. Chodźwa z brudnych dworców, wilgotnych bunkrów, miejskich ciemni. Zaczynamy kolędę.

### HEJ LE LU!

*Tańcuj  
Misiu  
Ubogi  
Pokaż kły  
Pokaż rogi*

Turczeniem dygocą kły, wrośnięte korzeniami w skórę cielesną. Bezbarwna powłoka toczy ciało w maglu pieśni. Kiedy kładę się na tym mchu, przy leśnej dróżce, nie wiem jeszcze, ja – ciało i chrząszcz na mnie, że nadchodzi mróz. Jesteśmy sami w tej głuszy. Z dała od szumu. Dziwaczne miejsce pochłania nas obu. Mnie i jego. Bidoku mój ty – taki chłód nadchodzi a on samiuśki. Siedzi na mnie, jak ta ćma, która wbiła mi się między oczy przed kilkoma tygodniami. Szukam więc słów wiatru. Dziady, co to je po drogach spotykałem nie raz, piosnkę mi zanucili. W słowach jej tkwił kluczyk. Zardzewiały jakiś taki. To i te słowa wiatru były. W nich ukrytych mądrości było wiele, a wszystkie po to, by włóczyły jak ja, nie zamarzali. Śród tych słów znalazły się i takie, że słonko z razu rozjaśniało i przyjemne ciepło przykryło grubym kożuchem całą naszą trójkę. Chrząszcza, ćmę i mnie. Dalej to był zdaje się sen. Bo mech jedynie głaskał cielistą powłokę w okolicach mostka. W miejscu po sercu. Ciało na wznak legło, przy tej ścieżce porośniętej, spowite mrokiem transu.



Później tylko smak puszczańskiego piasku, korzeni a w tle bębny. I głuche pomruki. I powolny dech. I ciemność. Ciepło i mrok.

*Hej, misiu  
Złowrogi  
Świcą twe rogi  
Misia hyc za uogon  
Zakłętą śpiewem  
suniem w orszaku drogom  
hej kolęda...*

## SŁOWO DRUGIE

Nad głową raz ciemność, raz promienie przytłumione. Czuć zapach sosny. Kołysze się na lekkim wietrze. Porasta mnie mech.. Wije się powoli w tym nie- śnie pod opadające ku ziemi gałązki. Siadam. Mym namiotem diabelskim, bo i przy ścieżce znów, te kilka igiełek, żywicy zapach i mróz. Bieluska płachta śniegu. Za moimi nićmi – korzonkami podąża jelen. Podchodzi więc do mego legowiska i obchodzi je, jak gdyby nigdy nic. Znika między zamarzniętymi drzewami. Ślady jego błyszczą, srebrną obwolutą przyodziane. Ciało zastyga w bezruchu. Płaczą się słów listki. Znajome, choć obce i zamglone. Fascynujące i przerażające. Bo dzień jakby trwa, choć w pełni mrokiem pochłonięty. A w tej gęstwinie słów – listków dygoce z zimna powietrze.

Wychodząc, zabrałem ze sobą jedynie słowa wiatru. Domem im mój garb dziadoski, bo z tych dziadoskich pieśni zbudowany. Sosny szum nie daje spokojnie zatapiać się w gęstwinie natchnienia. Gdzie zniknął jelen?

*Hej, kolęda?*

Wtem pisk rozbrzmiewa w borze. Gadali niegdyś, że to Leśnego pogwizdy. Za każdym razem miał oznajmiać w tenże sposób, że kroki swe stawia bliżej i bliżej. Do domostw podchodzi. A za nim zgraja. Za nim sfora. Za nim wataha. I samotne dusze. I maskary dziwaczne. I zbójce zakłęte w brzozy. I ciała jak nasze. Bębny. Gardłowe śpiewy. Leśny zakłęty w sójkę, siada na gałązce. I dźwięki z podziemi dobywają się z gardzieli. Niby taki mały, niby kolorowy, tęczą błyszczą jego oczęta. Dziki jednak i mamiący. Cisza. Sójka przerywa śpiew – kraczenie. A korzonki me, jedne z okolic pępka wyrosnięte, inne z dłoni, jeszcze inne z genitaliów, nićmi wiją się po ziemi piaszczystej w objęciach drzew. Łączą się z grzybnią, której biały puch oddycha swobodnie pod warstwą runa. Wszystkie moje kończyny przemieniają się na raz w kawałki ciężkiego ołowiu. Są mi zbyt ciężkie, jak oddech, jak głos radiowego spikera, warkot silników, złote

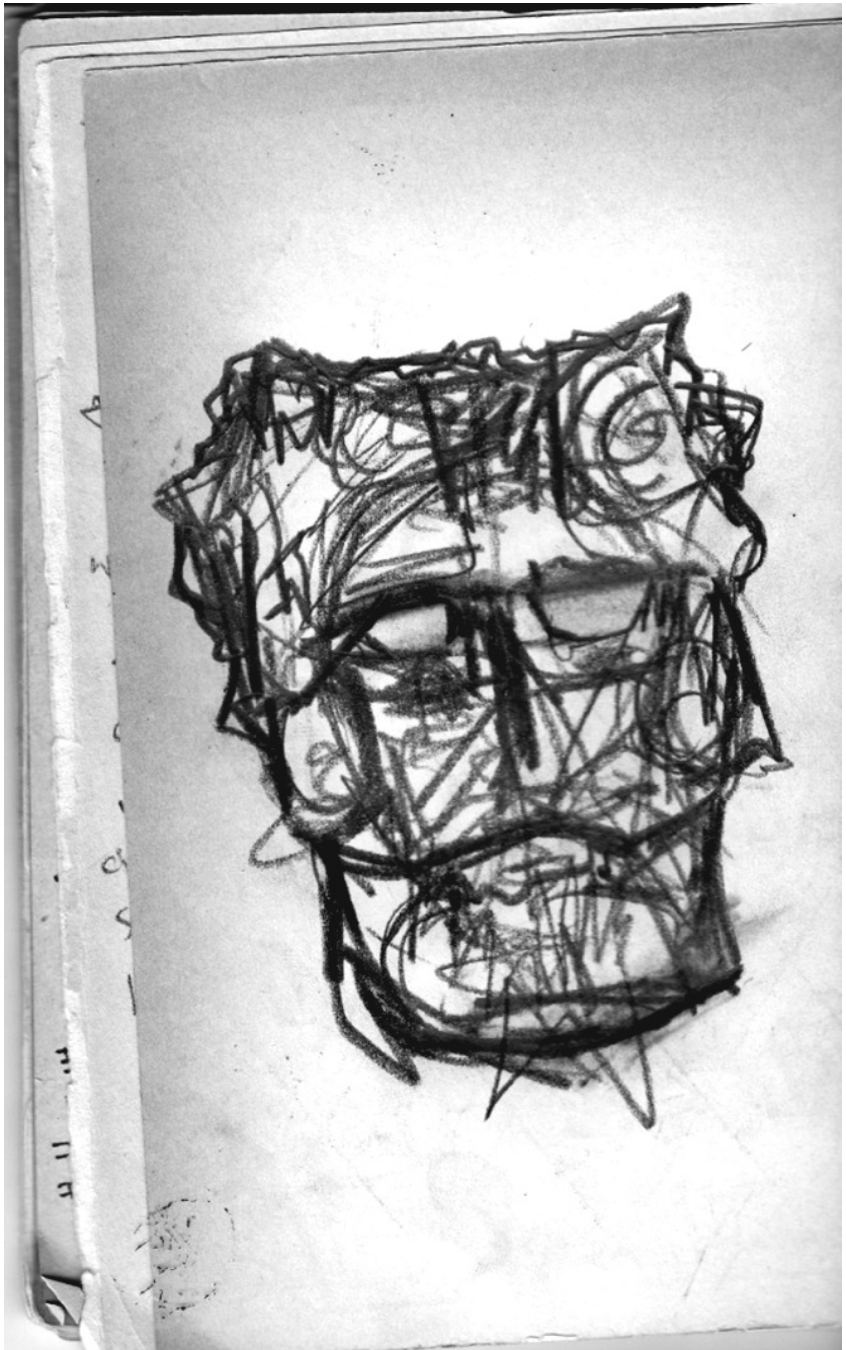
zastawy, zapewnienia opastych panisk. Są mi zbytuczne, jak zbytkiem współczesności są puste słowa krystusowych misjonarzy. Odpadają. Widzę bardzo dokładnie, jak czas zjada je po kolei. Stają się bezbarwne, gniją i sypią się w pył. Teraz jeno cielista forma pełna korzeni. Stare duchy powracają. Czy nas wpuścicie?

## SŁOWO TRZECIE

Dziwna to rzecz, bo w tym borze, jakbyś człeku nie pozierał, ciszy zaznać – nie zaznasz. A jednak się zdarza czasem. I w tej ciszy, bez kończyn już, lekkie, drzewiane ciało me, kładzie się. Choć oczy porośnięte nitkami, widzi wokół wszystko. Dali mi nową twarz. Czuję jej obecność nad swą już nie – twarzą. I cięży. Czuję, jak coraz wolniej dycham. Jakby jakaś zmora siadła mi na piersi a jej śmiech zabierał mi powietrze. Iskry gwiazd sypią się na śnieg. Pył unosi się powoli znad lodu. Mgła. Bębny. Fujarki. Trembity. Czy ta twarz – maska spogląda ku mnie? Czy też ja patrzę przez nią? Z boru wyłania się orszak. Huczny i skoczny, tańczą psy i kozy. Baciary i zbóje siekierneckami machają. Dwa jednakie chłopcy, w płótnach jeno, ciągną na saniach woła i wilka bez zębów. Mysz tańczy z rudym kotem a kot z psem z czterema ogonami. Bębny, fujarki, trembity...

*Pójdziewa, ludziska, w droge z wieczora,  
wstąpiwa naprzód do tego dwora  
i będziewa śpiewać wszędzie  
po takiej wesolej kolędzie, hej...*

Porywają mnie w tany. Na przedzie orszaku podąża Dziad obrzym. Ale nie jest on ni przewodnikiem, ni tym bardziej panem opastem. Dziad to jeno dziad. Broda jego sięga najstarszych bajań tej puszczy. Sięga tak daleko, że nawet i najstarsze dzieje przenika. Mami oczami czarnymi dokoła, śmiejąc się bezgłośnie pod długim nosem. Tam, gdzieś u dołu, czort wie, czy już u korzeni Starego Dębu, brody koniec brodzi w zimnej, martwej wodzie. Jeno czasami czaruchy, wystanniczki Wołosa, drzewianym zgrzebłem rozczesują Dziadowi skołtunione włosiska. A ten wdzięczny jest im za każdym razem. Bo kto kiedy widział Dziada z kołtunem? A tamci z orszaku znów wołają – chodźwa wszyćkie! Bo i tu miejsce znajdzie się dla tych, co wyszli, wychodzą a i wyjść potrzebują. Głosów naszych i krzyku niech pobratymcy cielca złotego dosłyszą. Chodźwa z nami – dzieci miast, bram i puszc. Lekkie kości uwikłane w płęć. Zbóje ni to rosłe, ni maluczkie. Włóczęgi słońca i księżyca, nocnego stróża. Owoce grzybni. Chodźwa schorowane ciała. Niech lekiem nam



stanie się taniec. Niechże w żyłach cieniujących, korzeniach krążą soki wiosen. Mokoszowe tzy.

Dzjad opatulony jest w kozuch, związany u pasa powróstem. Roznosi woń ogniska, leśnych ziół i drogi. Osiadł na nim pył, który przerodził się w mgłę. Na długim powrozie trzyma Dzjad jakąś maskarę. Paszczą jej lata, kłapie i kłapie. Tonie co chwila w wydeptanej już ci ziemi. I skacze na boki. To w lewo, to w prawo. Ogień od niego bucha. I kłapie, kłapie zajadle. Ogień misia nie pali, jest zbiorem iskier, które w sercach każdej maskary rosły latami. On je jeno do kupy zebrał i strzela nim teraz, coby odpędzić wszelkie złe mary, duchy.

Turoń to miś. Stare dzieje z niego, bo chował się po puszczy razem ze zbójcami, kiedy nowe wchodziły światy. A już na dobre ugrzązł w tej jamie swojej, jak ludziska z tej ziemi zapominać poczęły. Dymek leciutki mu czasem tylko z nosa buchał, jak mroźne dni nadchodziły. Kto go karmił wtedy, sam czort raczy wiedzieć. Słyszały jego pojękiwania czasem ludzie, co to gubili się po lasach i błędzili, szukając ukrycia po nocach. Gubili się też Ci, co w przesilenie zimowe magią nocy upojeni, szli w las kwiatu paproci szukać. Zwodnicze to były drogi. Gdyby nie diabły, co tamtędy chadzały, nikt by nawet nie spomniał jak im na imię było. Ale kwiat paproci już rósł. Nie w lesie a miejscu, gdzie biło mi dawniej serce krwiste. Z tego mchu pewnej nocy wyrósł. I z tym kwieciem paproci, kolejne wcielenie. Bo jeden on tylko.

Dalej szły różne dziwy. Za misiem Gwiazdor, na dłoniach miał słońeczko. Za nim skakały radośnie kozy i niedźwiedzie. Koguty napuszone piąty. Baran trącał co rusz gwiazdora po nogach, a ten lecąc przed siebie, ze słończkiem na rękach, kłął w żywy pień. Za baranem szedł żrebak. Na jego grzbiecie gniazdo uwił sobie bocian. Kiedy przepchnąłem się przez tłum, zauważyłem również żurawia. To przez tę maskę. Nałożyli mi ją i ruszta ją teraz. A znikną. Gdzieś pośrodku dojrzałem wirujące w kole światelka. Ogniki skaczące gwałtownie, rozświetlały mrok w koło. Cztery tańczące postacie, wirowały wokół własnej osi, wirując znów w kole, tak, że tworzyły krzyż czteroramienny. Ale nie był to ten krzyż krystusowy. Jeno stary jak świat krzyż. Te cztery maskary, futrzaste całe, obleczone w kozuchy, na twarzach ich maski drewniane, powykrzywiane zaległy. Te cztery postacie to były z tech stron świata czterech. A z każdej paszczy otwartej, buchał kolejny ogień i woda się lała. Tak na przemian. Ciało me przystanąło i wzrok utkwiał na jednej postaci, która wyznaczała środek tego koła wirującego. Miała na sobie maskę umorusaną węglem. Rosła to była postać. Ta już Ci obrzymów chmury ganiących sięgała. I z jej ślipiów, co to spod tej maski czarnej wzyierały, znać było, że zakłęta. Jakżeś wpatrzył się dłużej i na wylot przewiercić mogła. Ból. Nicność. Nieśmiertelność i ulotność. Kimże ten ktoś? Rzuca ciało me w tłum słowa, jakby maskary jeno czekały, by szepsem rzec – Przodków Duch.

## SŁOWO CZWARTE

Tak też było, że odwiedził orszak pierwszą chatę i drugą, trzecią. Bo stare to zwyki jeszcze były. Cucili misia gospodarze wódką, scodroki maluśkie wciskali. A maluśkie były i w kształcie tych leśnych gadów, bo i czasów biednych my się doc'kali. Żyj misiu! A misiu nie umierał.. Przypominał jeno o tym, że nic nie ma końca ni początku. Wszystko w tem kole spowite było w całość jednaką. Obłąził więc orszak całe wsie, zawitał i do miast. Od wschoda do zachoda. Od południa na północ. Tarzał się orszak w błocie pod grodem Kraka, tańcząc bez ustanku. Tułał się po labiryntach kopalń, szturchał sztygarów przysypiających. A Ci klęli do niego, ale przyłęczali się robociarze. Pod Opolem złapali w objęcia kolejne wędrowne duszyczki. Zrobili małą przerwę na sen, który i tak nie nadszedł. Dalej na zachód. Białe wiatraki biły ogromem na horyzoncie. Minął orszak świętą górę Ślężę, przycupnął pod Raduniowym dębem. W końcu zawitał i do miasta o stu mostach. Tam śpiewał donośnie, coby wschodniego głosu wszystkie ludzie usłyszeli. Majtał się z lewa na prawo, bo i lali orszakowi ognistej wody. Lulki, machorkę i inne zaczarowane zioła za pas wciskali maszkarom. Był i orszak nad wielką wodą, gdzie syrenie śpiewy nikt w głębinach pradawnych otchłani. Był i orszak dalej na wschód i dalej na zachód. I dalej tyż na południe i na północ. Ale nie z biegiem linii na mapach wytyczonych maszerował. Ale sarnimi ścieżkami. A te przecinały wszystkie ludzkie drogi. Obszedł więc cały świat, po drodze zbierając do kupy ciała i dusze. Aż zrobił się tak ogromny i głośny, że słycać go było w kolejnych miejscach, do których zmierzał.

*Hej kolęda, hej LE LU!  
Wstąpiwa do tego dwora!*

Na koniec kolędy ostawił orszak myśliskie budy, chaty złocone i dwory. A było też tak, że w tech dworach obleczone w tłuszcz paniska siedziały. Jeden z krzyżem na piersi uozłoconym, drugi partyjny z frakiem wykrochmalonym. Trzeci liczył monety, aż mu w uszach brzęczało. Dumne jak te pawie, drapały się peny po tysiącach łbów. Ucztę im gotowały gosposie, które znać było, że same w uczcie nie chciały udziału brać. Przy okiennicach wielkich jak wrota do miast warownych stały w mundurach chłopki niekumate. Puste ich spojrzenia wertowały na wskroś okolice. Każden jeden miał przy sobie metalową tabliczkę, co to na niej wygrawerowane były napisy – teren prywatny, wstęp wzbroniony. Mierzyli i ciskali do wilków, co to obejść chciały olbrzymi dom na zaparkach. A te zapałki to mokły, bo i deszcze srogie od kilku dni okolicą poniewierały. Śniegi już puszczały. To i peny się zamartwiały. Bo jakże to tak chałpa, ale bez fundamentów?

W oczy me rzucił się widok taki, jak na stole ich kładzie się wielki byk rozrodczy, ten złoty cielec, co i mnie ganiał po bezdrożach. A te paniska,



kąsając zajadle jego nabrzmiate mięśnie, piją soki jego zatrute. Tańczyły przy tem wszystkie ich przegniłe myśli. Sypało się złoto. Wznoszono peany na cześć bohaterów i świętych. Przeklinano ubogich, do kominka wrzucano stare słowa, a te gaśły w oczach. Jeno czasem któreś w brzozę zaklęty duch z orszaku zdołał połapać słowa w dym przemienione i miał je w gębie, póki te soków nie puściły. A później rzucał w orszak, by ten się najadł i tańcował dalej ile sił.

Maska jakby kierowała mnie wzdłuż i wszerz w tej gromadzie. Widziałem wiele i słyszałem krzyki, jakich dawno słysząc nigdzie nie było. I śpiewały wszystkie te dziwy futrzaste i maskary. Ogień płonął. Radośniki. Dwór nie wpuścił. Pany przez okienka jeno wyglądały. A orszak nawet nie chciał przez próg przejść. Bo i po co. Dziad tupał, Turoń mlaskał, dziatwa lasu, zbóje i wilki kły szczyrzyły. Śpiewy niosły się już nie po wsiach kolejnych ale i po ziemiach obcych, co to obcymi już nie były, bo i tech granic strzeżonych nie beło.. Obce te ludzie już ci znały mowę gniewu aż nazbyt. I słyszały dziwaczne ptaszyska i ludzie. Słowa wiatru, słowa paproci. Zapach bagien, grzybów i sosen. Hajda!

*Za kolędę dziękujemy,  
zdrowia, szczęścia Wam ujmjemy.  
Za to żeście nic nie dali,  
Niech Wam suka w piec nawali.  
Kolęda.  
Wiwat*

Stare duchy powróciły.  
Bębny...





Utknąłem w spiralnej powłoce pradawnej muszli. Jest mi echem w uszach i snem i jawą. Jest mi tym samym czym ja jestem jej. Ale czym jestem ja w tej muszli.

Wyrosłem ja – z czeluści podziemi, drzewo. Mam korzonek sięgający dna tych mokradeł. Wije się po śladach bobrów.

Jedną łzę puszcza na taflę cichej wody. Nie – wielkiej. Nie – małej. Wody bijącej z otchłani światów. Wychodzą z niej duchy, przebijając się przez martwą taflę.

Drugą łzę upuszczam na dłoń porośniętą grzybami. Znika. Tak jak zniknęła na bagnach moja cielista powłoka.

Trzecią łzę wzniecę pożar, bo pełna ona goryczy i nienawiści. Płoną szklane biurowce.

Czwartą łzę puszcza na wiatr, zjada ją obrzym. Pluje gradem. Upadają imperia.

Nie przekroczyłem jeszcze, ja – muszla i ja – drzewo, wertykalnej granicy światów. Rosnę i dojrzewam w skorupie pogranicza. Stojąc na bobrzym moście. Ja – muszla i ja – drzewo.

Nie ma wiatru

Gdy nie wieje

Nie ma deszczu

Podczas suszy

Są jedynie słowa ciszy

I demony – my, ziemi tej piasek

Uojca lasu tego dziatwa.

Unosi mnie świadomość pyłu – mnie pylistego w tej muszli pustej.

Nie słycać w niej nic poza powolnym oddechem. Nie mnie pokrytego pyłem

a poczwarki.

Leży muszla pod olbrzymim drzewem – mną. Symbioza. Jedność.

Nie ma granic na pograniczu

Nie ma horyzontu na pograniczu

Nie ma wojen na niczyjej ziemi

Nie ma nas – jeno cienie  
Podążamy więc wszystkie my – cienie w głąb bagien. Toniemy. To-nie-  
my.  
Nas nie ma – cienie jeno.  
Żyjemy w skorupie starej muszli. Poczwarki. Bez królów, bez panów.  
Bez boga.  
Z boginiami i demonami – boginkami.  
Utknąłem, ożyłem. W spiralnej powłoce pradawnej muszli. Na  
pograniczu wszystkich światów.







Etnoryt  
etnoryt@gmail.com  
instagram.com/etnoryt

---

we współpracy z

---

Wydawnictwo Nieczytelne  
nieczytelne@riseup.net  
nieczytelne.wordpress.com

Kraków/Wrocław 2023